

# OGNISKO DOMOWE

Gazeta dla kobiet.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 1

CHOJNICE, dnia 25-go maja 1924 r.

Nr. 8

## Kłomb macoszek.

Pan Marcin ogrodnik, chodził po ścieżkach parku tu i tam i był, nazywając rzecz po imieniu, po prostu . . . wściekły. Zimno było, mokro, nic rosnać nie chciało, wszystko było szare i smutne. Patrzył się po drzewach, po krzakach, po placach przeznaczonych na trawniki i nic. Wszędzie pusto, smutno.

— Inspekta idą marnie, trawa ani rusz rosnać nie chce, macoszki zmarły wogóle wszystkie, słowo daję, rzucę tę całą robotę i wyjadę chyba do Francji, tam jest cieplej.

Palil fajkę pan Marcin, chodził po ogrodzie i złościł się.

Stary Cieślak, pomocnik zbliżył się do niego i zagadnął:

— A to mamy, proszę pana, elewkę w ogrodzie, co jej mam kazać zrobić?

— A tam z babami — mruknął pan Marcin i zadowolony, że ma na kim wyrzucić swoją pasję, udał się w trop za Cieślakiem ku nowej partii ogrodu, gdzie właśnie zakładano klomby.

Obok kilku kobiet starszych pracowała młoda dziewczyna, skromnie ubrana, lecz pełna zręczności i wdzięku.

— No co? — zagadnął ją szorstko — panna pewno myśli, że ogrodnictwo to spacer po gankach i wachanie kwiatków, nie? U mnie trzeba pracować, a nie gapić się.

Pana Małgorzatka spojrzała filuternie na pana Marcina, uśmiechnęła się, ale nic nie odparła. Ogrodnika to rozgniewało.

— Panna myśli, że ogrodnictwo to lekki chleb? Wcale nie. Pytanie, czy się panna wogóle czego nauczy. Najlepiej było iść do biura, albo do szycia, my tu damy radę bez takich młodych kóz.

Na to odezwał się niespodzianie Cieślak:

— Proszę pana, panna Małgorzata bardzo się dobrze bierze do wszystkiego, ma szyk do roboty. Tak z rok, dwa praktyki, a może sama prowadzić ogród.

— Jeszcze czego? — oburzył się pan Marcin — żeby się ten kłomb chociaż udał, ale napewno będzie koszlawy, zresztą — obrócił się ku niebu — i tak z tego nic nie będzie, bo ciągle pada deszcz i zimno jak djabli.

Małgorzatka nie zniechęcała się bynajmniej złym humorem przełożonego. Chciała zostać ogrodniczką, bo ponad wszystko kochała kwiaty. Już małą będąc dziewczynką hodowała na balkoniku kuchennym co się dało. A to „Pilną Elżbietkę“, której różowe drobne kwiateczki cieszyły ją przez cały rok długi, a to macoszki i stokrotki, a to wreszcie sałatę i pietruszkę dla matki do obiadu. Zimą pielęgnowała pod okienkiem mirtę i dwa dziwacznych kształtów kaktusy, a teraz gdy została sierotą, całą swoją miłość i zainteresowanie przeniosła na cmentarz i rzeczywiście grób

jej matki był najlepiej podlewany, utrzymywany najstaranniej, jednym słowem był najładniejszym z wszystkich, nawet najbogatszych grobów.

— Zostanę ogrodniczką — postanowiła sobie i mimo, że wuj, woźny banku i ciotka zawodowa krawcowa namawiali ją, a to do szycia, a to do pracy biurowej, Małgorzatka wolała pójść za swoim powołaniem i uprosiwszy sobie trochę pieniędzy u krewnych, zapisała się na szkołę ogrodniczą. Po półrocznej nauce w czasie jesieni i zimy teraz na wiosnę zgłosiła się jako elewka do ogrodu pana Marcina i została przyjęta.

— Żeby tylko ten kłomb się udał — powtarzała sobie w duszy i jakby od owego klombu zależało całe jej życie i szczęście, dzień i noc myślała o nim. Przewszystkiem nie podobał jej się rysunek. Pan Marcin, zmuszony będąc udać się do pewnej wioski podmiejskiej w pilnej sprawie, nie był obecnym przy zakładaniu klombu, stary zaś Cieślak, dzierżący w czas jego nieobecności niepodzielnie berło władzy nad całym ogrodem wraz z inspektami i oranżerją, nakreślił zwyczajne koło i również po prostu, bez osobnych kombinacji kazał posadzić obok siebie żółte i grana towe macoszki. Małgorzacie to się nie podobało. Przecież można było wymyślić zupełnie coś innego, np. gwiazdę ośmioramienną, jakby to było ślicznie. Myśl ta nie dawała jej spokoju. Położyła się do łóżka w swojej stancyjce, ale zasnąć nie mogła. Gwiazda, gwiazda ośmioramienna — kombinowała, przewracając się na pościeli. — Kłomb jest dopiero przygotowany na jutro, kwiaty jeszcze nie posadzone, gdyby tak powiedzieć panu Marcinowi? — ale na to nie starczyło jej już odwagi. Pan Marcin był wprawdzie sympatycznym i niezbyt starym mężczyzną, ale może właśnie dlatego Małgorzatka ani rusz nie była w stanie przemówić doń pierwsza. Próbowwała zasnąć. Gdzieś tam, kłomb nie dawał jej spokoju. A noc była jakaś dziwnie ciepła i jasna. W dzień jeszcze okrutny, północny wiatr, a teraz ułożyło się jakoś i duży błękitny księżyc błyszczał na czystym niebie. Małgorzatka wstała cichuteńku z łóżka — ubrała się szybko i wyslizgnęła do ogrodu. Pies zawarczał, ale poznawszy ją umilkł. Skierowała się w stronę klombu. Na tle zieleniejącej już trochę trawy jaśniał okrągły placyk przeznaczony na posadzenie kwiatów. Małgorzatka zdecydowała się nagle. Miała przecież w kieszeni klucz od szopy. Szybko, cicho wyjęła potrzebne jej narzędzia i powróciła z nimi na trawnik. Księżyc świecił mocno, jak latarnia. Zabrała się do pracy. Gdzieś nad ranem zgasił, ale od ulicy padała smuga światła gazowego. Gorzej było przy tem, ale pracować dało się mimo to. Około godziny czwartej na trawniku leżał rysunek poprawny i doskonale odmierzony ośmioramiennej gwiazdy. — Teraz jeszcze tylko macoszki. — Pochowała w powrotem narzędzia i udała się do swojej stancyjki. Było pół do piątej. — Za pół godziny stary Cieślak zaczął

kręcić się po obejściu, bo dospać nie może, spróbuje wyludzić od niego flance, uda się chyba posadzić samej. — Cieślak zdziwił się niezmiernie, witając o tak wczesnej godzinie młodą elewkę. Przecież kobiety pracujące przychodziły dopiero o siódmej, a wówczas jeszcze trzeba je było trochę naganiać — Nie dziwota, każda ma swój dom, dzieci, a to? Widać robotę lubi... Z pewnym niedowierzaniem jednakże zagadnął: — Panna chce sama flancować? A pewno krzywo posadzi i pan Marcin zezwie mnie potem jak psa. — Małgorzatka jednakże tak mu jakoś przemówiła do serca, że zdecydował się ostatecznie powierzyć jej klomb, obiecując sobie zajrzeć tam za chwilę. Jednakże nie przyszedł wcale i kobiety także nie nadeszły. W tym czasie bowiem sam pan Marcin zajął wszystkich gdzieindziej, nie wiele troszcząc się o elewkę w posadzeniu zresztą, że zasnęła. Około ósmej wszystko było skończone i Małgorzatka pośpiewując sobie z nadmiaru radości, przyłączyła się do gromady. Dziwnym zbiegiem wypadków i wieczorem zapomniała o klombie i dnia następnego także. Trzeba nadmienić, że tymczasem powietrze odmieniło się nagle, nastąpiły dni ciepłe, nieledwie upalne. W ogrodzie było z gardłem roboty, ani stary Cieślak, ani nawet srogi pan Marcin nie wiedzieli od czego wprzód zacząć. Krzątało się więc wszystko, jak muchy w ukropie, a najlepiej i naszybciej pracowała naturalnie Małgorzatka. Nie miała pracować? Przecież czuła się najszczęśliwszą z ludzi. Codziennie wczesnym rankiem i późnym wieczorem szła podlewać swój klomb, a tam ciepło i woda dokonały w przeciągu dwu dni istnych cudów.

— Ta panna to się dosyć bierze — zwrócił się poufale pan Marcin do starego Cieślaka.

— Nie można mówić — odparł stary — ma szyk.

Spojrzeli obaj życzliwie na młodą dziewczynę.

Nastąpiła niedziela. Pan Marcin postanowił obejść ogród i park, ucieszyć się wszystkim, gdyż pogoda była rzeczywiście cudowna. Wówczas nagle stary Cieślak przypomniał sobie tamten nieszczęśliwy klomb. Jak wygląda? Bóg miłościwy wie, a teraz pan ogrodnik gotów się znowu wściec i wszystko spadnie na niego.

— At! z babami w ogrodzie — mruknął i niespokojnie podążył za zwierchnikiem. O kilka kroków dalej skradała się Małgorzatka.

— A tam za tym jesionem coście zrobili.

— Tam jest klomb — odparł niepewnie pomocnik.

— Hm! — zdziwił się pan Marcin i nagle przystanął oniemiały. Cieślak zajrzał mu przez ramię i aż krzyknął z podziwu.

Na zielonej płaszczyźnie trawnika leżała wielka równoramienna gwiazda. Cztery ramiona były jakby z ciemno-niebieskiego wyrobione aksamitu, cztery inne tworzyły żółte, niby jedwabne promienie. A były tak równo, tak umiejętnie sadzone, że nigdzie nie przeświecała między niemi ziemia, większe krzewy macoszek stanowiły serce i kończyły się na szpiczastych rogach najmniejszych i najniższymi kwiatówkami.

— Co to jest? Kto to robił? — zawołał zdziwiony pan Marcin, któremu nawet fajka zgasła.

— Panna Małgorzatka! — rad ze siebie i z elewki odparł stary Cieślak.

Gdzieś z boku zaszeleściły krzaki, mignęła biała sukienka.

— Zawołajcie — wskazał w tę stronę pan Marcin.

A gdy zbliżyła się zarumieniona i radosna dziewczyna, pan Marcin po raz pierwszy przyjrzał się jej

uważnie. Była przecież tak słiczna i świeża, jak te kwiaty. Nie zdradził się jednakże ze swemi myślami.

— Dobrze pani zrobiła — rzekł krótko.

O tego jednakże dnia trudniejsze prace powierzył elewce. Stary Cieślak mógł sobie teraz odpocząć, bo już panna wszystkim zarządzi.

Po półrocznej nauce, na jesieni, panu Marciniowi trudno było rozstać się z Małgorzatą. Panna Małgorzata polubiła bardzo ogród. A więc na przyszłą wiosnę pracowali znowu razem. I niewiadomo co bardziej radowało właściciela ogrodu, czy jej pięknie zakładane przez dziewczynę klomby, czy jej słiczna, dobra i wesoła twarzyczka. Jednakże Małgorzata była już wyuczona i miała pójść w miejsce gdzieś na prowincję. Było to znowu na wiosnę przy tym samym klombie. Kos gwizdał w niebogłosy.

— A możeby pani została? — i ciszej — jako pani w tym ogrodzie, no krótko mówiąc jako moja żona?

Małgorzatka spuściła głowę, a potem podnosząc ją nagle zawołała ze śmiechem:

— Muszę już zostać, bo kto by zakładał ten klomb. „Postęp“.

## Kongres diecezjalny w Paryżu.

W połowie marca obradował w Paryżu „katolicki kongres diecezjalny“. Tematem jedynym i wyłącznym wszystkich referatów, przemówień, na plenum i w sekcjach była sprawa — życia rodzinnego. A więc radzono o religijnym charakterze małżeństwa, wychowaniu dzieci, ustawodawstwie świeckim, wyludnianiu się Francji, środkach zwalczających wyludnienie, przygotowaniu młodzieży do późniejszych obowiązków rodzinnych i in. Również ostatnie uroczyste posiedzenie w olbrzymiej sali Wagram tej kwestji było poświęcone. Główny referat wygłosił poseł paryski, p. Thibout. W ten sposób francuski katolicyzm stara się usunąć plagę, którą słusznie nazwać trzeba najgroźniejszą klęską narodową Francji — stałe zmniejszanie się ludności. Jeśli bowiem najbliższe lata powojenne zdawały się wprowadzić zasadniczą zmianę pod tym względem i liczba urodzeń przynosiła liczbę zgonów, to już rok 1923 wykazał obniżkę urodzin.

## Dziewczę bez posagu.

Nie mam w wianie złota;  
cały mój dostatek  
jest w sercu pustota  
i szesnaście latek.

Ale mam płeć jasną,  
do twarzy ubranie,  
często przy mnie gasną  
bardzo wielkie panie!

Nieraz mi się zdarzy  
słyszeć, jak panowie  
mówią, nawet starzy,  
którym nie pstro w głowie:

Że szukać daleko  
między narodami,  
białej gdyby mleko  
z czarnymi oczami.

I nieraz się śmieję,  
że choć się niegodzi,  
to za mną szaleją  
i starzy i młodzi.

## II.

Gdybym była lekka  
serce bogatcw łakło,  
i ptasiego mleka  
by mi nie zabrakło.

Na moje skinienie  
ślabby pod nogi  
perły i kamienie,  
i pałaców progi.

Byłabym, jak mała,  
panią całą gębą,  
stu by czapkowało,  
stu drżało przedemną.

Lecz ja się nie kładę  
w tych dam szereg długi,  
co iść za mąż rade,  
by mieć dwór i sługi.

Wolę czekać, wolę,  
i za boską karą  
zmarszczki mieć na czole,  
zostać siostrą szarą.

Wolę zęby stracić  
na panińskim chlebie,  
niżli się zbogacić  
zapredając siebie.

Niech się co chce stanie,  
choćby koniec świata,  
ten mnie nie dostanie,  
z kim mnie ciotka swata.

Bo choć em sierota,  
choć nic mieć nie będę,  
nie pójdę dla złota  
za starego zrzęde.

## Rady dla gospodyń.

### Jak jajko ugotować w zimnej wodzie.

Włóż jajko w garnuszek, naley na nie zimnej wody kilka kawałków niegaszonego wapna.

Po chwili woda zacznie gotować się i wkrótce przekonac się możemy, że jajko jest ugotowane.

**Kotlety wleprzowe po irlandzku.** Młodych jarzyn, wskutek opóźnionej wiosny jeszcze nie ma, stare już są niesmaczne; tymczasem na wiosnę szczególnie należy jaknajrychleiej używać jarzyn, gdyż mięso same już nietylko kosztownem jest, lecz i zbyt ciężkiem jedzeniem należy się dziś starać nadać starym jarzynom możliwie dobry smak. — Pięć niedużych cienkich kotletów lub tyleż sznycelków wieprzowych, zrumienić prędko na bardzo gorącym maśle lub szmalcu, (w środku powinny pozostać surowe). Pół kilo marchwi utrzeć na tarce, ćwierć funta cebuli pokrajać w plasterki, pół kilo kartofli obrać i pokrajać w cienkie plastry, w płaskim rądlu lub nelsonce ułożyć kotlety, marchew, cebulę i kartofle tak, aby górna warstwa była z kartofli, polać tłuszczem, w którym się smażyły kotlety i dobrą szklanką rosolu lub w braku jego wody, popieprzyć, nieco posolić; przykryć szczelnie pokrywą i dusić na wolnym ogniu aż kartofle zmiękną. Podawać w tym samym naczyniu bardzo gorące na stół.

## Figliki.

Na cmentarzu stoi mężczyzna i strasznie lka i zawodzi wołając: „Och, nie trzeba ci było umierać! O, jaki ja niepokieszony!” Jestem widokiem rozpa-

czającego człowieka, ogromnie wzruszony i pragnę wyrazić mu moje współczucie, a zarazem wybadać o przyczynę rozpaczy. On nie słucha tylko zawodzi. „Och jaki ja niepokieszony, och jaka szkoda ciebie!”

Gdy nareszcie się trochę uspokoił, zapytałem go, czy może utracił najdroższą sercu istotę, on zachnął się i powiada: „Głupstwo! tu spoczywa pierwszy mąż mojej żony i jego tak obżałowuję, bo mnie krzyż i mękę pozostawił.”

Zacząłem kiwać znacząco głową, bo widziałem, że dla niego niema pociechy na razie.

## Jedno i to samo . . .

Pasał Janek w polu krowy,  
A zaś Magda wieprze.

„Powiedz dziewczko, czy panieństwo,  
Czy zamążcie lepsze?”

Magda, skrobie się po głowie  
I trafiła w sedno:

„Ano, widzisz, to jest niby,  
„Całkiem wszystko jedno:

„Dziewkę, — bije pani matka,

„Babę zaś chłop pierze!

„Dyć jej jedno i to samo.

„Zawsze lanie bierze”.

## Nasze męzatkki.

Pewna młoda zoneczka tak napisała list do odalonego męża: „Piszę do Ciebie, gdyż nic innego nie mam do roboty i kończę mój list, gdyż nie mam nic więcej do pisania”. —

## Babka.

Pewien pan, który umiał tylko kilka słów po niemiecku, wiedział także, że babka nazywa się Grossmutter. Wszedł do niemieckiej cukierni i zażądał kawy z kawałkiem Grossmutter.

## Rozmaitości.

**Dziewczęta — olbrzymki z wysp Bahamy.** Pomiędzy wszystkimi cudami krajowej wystawy angielskiej w Wembley budzi podziw także grupa olbrzymich dziewcząt z wysp Bahamy. Przedstawiciel tych wysp w komitecie wystawowym p. Howard Chipmann opowiada publiczności bliższe szczegóły o ich wdziękach: „Przeciętna wielkość dziewcząt z Bahamy jest mtr. 85 centymetrów, bo w tej podzwrotnikowej krainie nie osięgają tylko rośliny, lecz i ludzie zadziwiająco rozmiary. Olbrzymie te panie posiadają jednak figury, które nie są tylko wielkie, ale posiadają też wdzięczne kształty. Tańce coprawda nie są ich namiętnością, bo gdy się ma 200 i więcej funtów na sobie, to nie łatwo dadzą się wykonać wszystkie te zawiłane wykrzywiania i ruchy, jakie tańce modne wymagają. W ich narodowych tańcach, które wykonują przy dudnieniu bębna, okazują jednak wiele wdzięku. Miękka, gładka skóra, która z blado oliwnego koloru przechodzi w piękną brunatność, wspaniałe formy ramion i plec, które każdego rzeźbiarza zachwycić muszą, eleganckie biodra, delikatne kostki, to są naturalne piękności, jakie panie te posiadają. Nadzwyczaj lekkim i pełen wdzięku jest ich chód. Piękność ta pochodzi stąd, że dziewczęta z Bahamy od najmłodszych lat noszą ciężkie kosze z gąbkami na głowie. Ich siła jest zadziwiająca a domowe kłótnie na wyspach Bahamy szybko się rozstrzygają, jeżeli już z góry pan małżonek swej żonie nie ulegnie, bo taka czarnoskóra olbrzymka niewiele żartuje i porządnie wytrzepie chłopca bez wielkiej wrzawy, chociaż tam i męczyżni są silni. Naogół jednak piękności z



Bahamy, jak wszystkie olbrzymy, są dobrotliwymi i łatwo do kierowania, śmieją się i żartują chętnie. Gniew ich usmierza się łatwo podarunkiem pstrej chusteczki lub jaskrawej wstążki. Siłę muszkułów otrzymują kobiety to głównie przez nurkowanie za gąbkami, co tysiące z nich zawodowo uprawia. Przemysł gąbkarski jest bowiem na wyspach tych rodzaju mym.

**Grzywna za stracony uśmiech.** Bogaty kupiec z Marsylii Vidal wioził znaną paryską aktorkę Joannę Lugan w samochodzie, przyczem wskutek jego własnej winy automobil doznał w drodze uszkodzenia, panna Lugan wypadła na bruk i doznała takich obrażeń, że musiała się poddać operacji. Skutkiem tego zmienił się wygląd jej twarzy. Coprawda piękna aktorka na kobiecym powabie nic nie straciła, ale jej uśmiechy nie były już tak kuszące, jak przedtem. Pozostała szrama, która nie pozwalała jej z całą swobodą, się uśmiechać i tym śmiechem wabić mężczyzn.

Strasznie to rozżaliło piękną aktorkę, tak że nie mogła tej krzywdy okrutnemu automobiliście przebaczyć i zaskarżyła go przed sądem o stracony uśmiech. Sędzia uznał, że śmiech na ustach aktorki jest zawodowym obowiązkiem, a aktorka, która się śmiać nie umie, traci na powodzeniu. I Vidal musi zapłacić 75 tys. franków odszkodowania.

**Cnotliwe kobiety z Kwantzon.** W chińskim mieście Kwantzon napotyka się na ciekawe bramy triumfalne. Europejczykowi podpadło, że te bramy triumfalne są rozsiane gęsto po całym mieście. Zapytany o przyczynę Chińczyk odparł, że wystawiono je na cześć cnotliwych kobiet. Jedne były wdowami, które aż do śmierci zachowały wierność pierwszemu małżonkowi, drugie zamężne i panny kazały sobie wycinać kawał ciała i gotować, ażeby ukochanemu krewnemu ulżyć w cierpieniach. Istnieje bowiem przesąd, że zupa z ciała ludzkiego jest najskuteczniejszym środkiem leczniczym.

**Zamiast męża brat.** W przeddzień swego ślubu panna Józefina Buckley z Charlestown w stanie Massachusetts, dowiedziała się nagle, — że narzeczony jej, James A. Brady, nie może być jej mężem, jest bowiem jej bratem bliźniakiem.

Odkrycie to, dokonane w sam czas, było rezultatem szesnastoletnich poszukiwań. Opuszczona przez męża matka bliźniąt zmarła, gdy dzieci jej liczyły za ledwie kilka lat. Sieroty umieszczono w przytułku dla sierot w Bostonie, chłopiec przytem umieszczony tam był przez omyłkę pod nazwiskiem Brady. Opuszczony przytułek, chłopiec wyjechał z Bostonu i powrócił do tego miasta dopiero przed dwoma laty. Tam wstąpiwszy do szkoły wyższej, poznał uczęszczającą również do niej, pannę Buckley i zakochał się w niej, nie podejrzewając wcale, że jest rodzoną jego siostrą.

Tymczasem ojciec tego rodzeństwa, ożeniwszy się powtórnie po rozwodzie z pierwszą żoną, postanowił przed szesnastu laty odszukać dzieci opuszczone. Nie przedstawiało to trudności, co do syna jednak, to dopiero teraz zdołano, idąc po śladach, dostarczonych przez bostoński urząd dobroczynności publicznej, stwierdzić, że poszukiwanym bliźniakiem jest nie kto inny, jak tylko James A. Brady, narzeczony panny Buckley.

I tym więc razem okazało się, że rzeczywistość przewyższa często fantazję powieściopisarzy.

**Jezioro z czerwoną wodą.** W Chinach istnieje jezioro z czerwoną wodą, które Chińczykom daje wiele powodów do łamania głowy nad tym osobliwym faktem. Panuje wśród nich przekonania, że to krew ich przodków ścieka z grobów do owego je-

ziora i dlatego oczywiście jezioro to uważają za święte.

Nie mogą oni ścierpieć, gdy ktoś próbuje jeździć po tym jeziorze łódką, albowiem wychodzą z słusznego założenia, że nie godziłoby się także jeździć łódką po ciele żyjącego człowieka.

Także łowienie ryb w tej czerwonej wodzie było zakazane i równało się usiłowaniu popełnienia morderstwa. Chińczycy byli zdania, że jezioro to jest dowodem, iż po śmierci następuje zbratanie wszystkich ludzi. Złoczyńcy wszelkiego rodzaju musieli odbywać pielgrzymki do brzegów tego świętego jeziora, ażeby wobec krwi swoich ojców złożyć przysięgę, że nigdy już czynu niegodziwego się nie dopuszczą.

Pewnego jednak razu stanął nad tem bajecznym jeziorem europejski podróżny. Jak przystało na Europejczyka, chciał on rzecz zbadać gruntownie. Wyjął więc z plecaka naczynia do gotowania, napełnił je wodą i począł się jej przyglądać. Woda miała istotnie czerwono-brunatne zabarwienie.

Europejczyk włożył palec do wody, a kiedy go wyjął, palec obsiany był niezliczonymi czerwonymi punkcikami. Porozmawiał więc o tem zjawisku z kilku mądrymi Chińczykami, którzy również przynieśli swoje kuchenne naczynia i przekonali się na równi z Europejczykiem, że owe czerwone punkciki to nic innego jak tylko — pchły wodne.

**Narzeczoni, którzy pobrali się po 60 latach.** Przed 60 laty poznał się młody S. Ellis z jeszcze młodszą Marją Miller i zaręczyli się w Filadelfji. Później jednak bieg życia i okoliczności sprawił, że zginęli sobie z oczu. Obecnie drogi ich po latach znowu się zetknęły i dla pewności udali się zaraz do urzędu stanu cywilnego po ślub.

## Żarty.

**W kłopotcie.** — Jestem w strasznym kłopotcie, wczoraj oświadczyłem się pannie X.

No więc co?

— Było to po „święconem“ i nie wiem zupełnie, czy powiedziała „tak“ czy „nie“.

**O to właśnie chodzi.** — Cóż ty się tak boisz, Wojciechu. Jak cię kula trafi, to dziury w niebie nie będzie.

— O to mi właśnie chodzi, że nie w niebie będzie dziura, ale u mnie w łbie.

**Podział pracy.** Dwóch głodnych czeladników odpoczywało. Jeden z nich rzecze:

Idźże do najbliższej chaty i proś o co do zjedzenia.

Ten idzie i wchodzi do izby, nie zastaje nikogo, tylko misę jedzenia przygotowaną dla żeńców. Bez namysłu ją bierze, niesie do kolegi i gdy się posilili, mówi.

— Jam przyniósł, a ty znow odnieś misę i podziękuj za jedzenie!

Ten odnosi misę próżną, dziękuje, a tu ludzie jak skoczą:

— To ty łotrze, nasze jedzenie zabrałeś i jeszcze z nas drwiny robisz?!

I nuże po nim pięściami i kijami, że ledwo z życiem uciekł.

Redaktor odpowiedzialny: Leon Kum.

Drukarnia i nakładem Drukarni „Dziennika Pomorskiego“  
w Chojnicach.